

Kto poskromi Jandę

Trudno znaleźć reżysera, który narzuciłby Jandzie swój rygor

JACEK WAKAR

Wystarczy, by stanęła na scenie, a już rozlegają się brawa. Sama potrafi wypełnić największe widownie. Nawet przez moment nie stol w miejscu — wciąga gra i reżyseruje. Przed niespełna rokiem opublikowała książkę, teraz wydała własną płytę. A jednak sądzę, że Krystyna Janda nie można nazwać artystką spełnioną.

Krystyna Janda powiedziała kiedyś, że doprowadziła do realizacji monodramu „Shirley Valentine” Willy Russella właściwie dla własnej przyjemności. Podobno ani Zygmunt Hübner, ani Andrzej Wajda nie widzieli tej sztuki w repertuarze warszawskiego Teatru Powszechnego.

Ale Janda lubi ryzyko. Lubi ten najtrudniejszy rodzaj teatru, kiedy trzeba stanąć samemu na scenie i popatrzeć prosto w twarz publiczności. W monodramie aktor nie ma oparcia w partnerze. Jest samotny, ale być może jeszcze mocniej czuje kontakt z ludźmi po drugiej stronie rampy. Wie, że przyszli do teatru tylko dla niego.

Mistrzynie monodramu

Większość z ostatnich przedstawień Jandy to właśnie monodramy. Przed „Shirley Valentine” była „Biała bluzka” Agnieszki Osieckiej, po niej „Kobieta zawiedziona” według Simone de Beauvoir, później „Maria Callas — lekcja śpiewu” Terence’a McNally’ego. Teraz przygotowuje wraz z Magdą Umer spektakl poświęcony Marlenie Dietrich. Premiera podczas Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu.

Nazwisko Jandy jest dziś gwarancją kasowego sukcesu przedsięwzięcia. Jej spektakle-monodramy przez lata nie opuszczają afisza, a grane są po kilkaset razy zawsze przy kompletach publiczności. Choć „Shirley...” oraz „Kobieta...” nie pretendują do rangi arcydzieła, Janda gra więcej niż jest zapisane w tych tekstach. Dzięki niej widzowi (przede wszystkim pici pięknej) łatwo utożsamić się z bohaterkami sztuk. To takie same zwyczajne kobiety jak te na widowni. Aktorka opowiada ze sceny historie, które mogłyby się przydarzyć każdemu. Bohaterki kochają, cierpią, wściekają na świat. Jak wszyscy — tu i teraz.

„Kobieta zawiedziona” była dla mnie prawdziwym przeżyciem. Artystka zdecydowała się na najtrudniejszą próbę. Stała przed mikrofonem, w prostym stroju, właściwie pozbawiona rekwizytów. W dodatku za nią umieszczono gigantycznych rozmiarów ekran, gdzie w zbliżeniu widzieliśmy jej twarz. Taki układ łączący film z teatrem nie pozwala na najmniejszy fałsz. Aktorka wyszła z tego zwycięsko.

Potrzebny Wajda

„Maria Callas” natomiast stała się kasowym hitem, ale przyniosła rozczarowanie. Jandzie nie udało się pokonać grafomanii dramatu, uwiarygodnić wyciętej z papieru tytułowej postaci. Janda, nie mając pomocy ze strony reżysera, próbowała zapanować nad własnym temperamentem, narzucić sobie żelazną samodyscyplinę. Stworzyła rolę skończoną, ale nie dorównującą poprzednim.

„Maria Callas” pokazała dobitnie, że gwiazdorstwo wielokrotnie przeszkadza aktorstwu, a Jandzie brakuje reżysera, który pomógłby jej odkryć nowe możliwości i skończyć z powielaniem tych samych ról. Bo-



Krystyna Janda za własne pieniądze wydała płytę z piosenkami ze swych przedstawień

wiem od czasu „Kobiety zawiedzionej” aktorka nie powiedziała w teatrze i filmie niczego nowego, nie licząc wstrząsającego wykonania piosenki „Na zakręcie” podczas opolskiego koncertu poświęconego pamięci Agnieszki Osieckiej.

Grała role tragiczne — Lady Makbet w „Makbecie” Szekspira, tytułową „Fedrę” Racine’a. Cały czas na tym samym niebotycznie wysokim stopniu emocji, z niepotrzebną, a momentami wręcz irytującą egzaltacją. Ale te porażki to nie tylko wina Jandy. Miała odrzucić te wspańskie propozycje? Nie. Aktorce potrzebny jest dziś ktoś taki jak Andrzej Wajda na początku kariery. Ktoś, kto poprowadziłby ją, pokazał, w którym miejscu należy wyciszyć emocje, a kiedy krzyknąć, by zabrzmiało najmocniej. A tak zostają najczęściej tylko krzyki.

„Shirley...” reżyserował Maciej Wojtyczko, „Kobietę...” — Magda Umer, „Marię Callas” Andrzej Domałik. Wciąż mam jednak wrażenie, że w tych przedstawieniach aktorka reżyserowała się sama. Być może trudno znaleźć twórcę, który poskromiłby jej osobowość, narzucił jej rygor, wymógł akceptację własnych rozwiązań. Janda nie jest łatwym partnerem, wnosi do przedstawień całą siebie, nie potrafi dokonywać redukcji. To przywilej aktora. Reżyser jest jednak tym, który powinien narzucić wykonawcy rygor, służące nie tylko jego roli, ale całemu spektaklowi. Jandzie takiego partnera zazwyczaj brakuje.

Dlatego będąc ciągle w ruchu, sama szuka dla siebie repertuaru. Sama próbuje wzbogacić własny wizerunek, grając role dalekie od stereotypu nerwowej dziewczyny z papierosem, do którego przyzwyczaiła się publiczność. Prawdziwą ostoją są dla Jandy wierni widzowie. Ale ich bezgraniczne zaufanie i bezkrytyczne uwielbienie, jakimi darzą aktorkę, mogą uspić jej czujność. Mam wrażenie, że teatr i film nie przynoszą jej dziś artystycznego spełnienia.

Piosenki z teatru

Dlatego też Janda co chwila próbuje czegoś innego. Od kilku lat pisze felietony dla „Urody”. Przed rokiem

m.in. z nich, wraz z Bożeną Janicką, złożyła książkę „Gwiazdy mają czerwone pazury”, przewyższającą zdecydowanie literackie produkcje naszych gwiazd. Teraz natomiast zdecydowała się wydać za własne pieniądze płytę z piosenkami ze swych przedstawień. Nazwała ją krótko: „Piosenki z teatru”.

18 utworów złożyło się wcześniej na recital, pokazywany w studiu radiowej Trójki. Najpierw są piosenki Agnieszki Osieckiej z „Białej bluzki” i znakomita pieśń, prawie hymn „Na zakręcie”. Potem zapowiedź „Marleny”: trzy utwory pokazujące zupełnie inną Jandę — ostrzejszą, brutalniejszą, wyzutą ze złudzeń. I wreszcie francuskie przeboje z „Kobiety zawiedzionej” — m.in. Aznavour, Francis Lai i jego słynna melodia z filmu „Kobieta i mężczyzna”.

Płyta wydaje się kontynuacją monodramów Jandy. Można słuchać poszczególnych utworów, bowiem każdy stanowi zamkniętą etiudę. Można w całości, bo wtedy wszystkie układają się w jedną, chwilami przejmującą opowieść o miłości, opuszczeniu i nadziei. Rzecz cała kończy się specyficznym manifestem optymizmu „Jest fantastycznie”, przelamując tonację poprzednich piosenek.

Janda wie, że aktor nie tylko śpiewa, ale śpiewając gra. Dlatego ta płyta jest znakomitą pożywką dla wyobraźni. Pozostawieni sami z głosem artystki przywołujemy jej obraz, i dzięki płycie odkrywamy jej nowe możliwości, zbyt rzadko widoczne w teatrze.

Janda jest żarliwa i spokojna, uśmiechnięta i załamana — słowem z każdą chwilą inna. Ani na moment nie zapomina, co najlepiej służy piosence, nie pozwala sobie na najmniejszą szarżę. A przecież wyreżyserować recital i płytę wcale nie jest łatwiej niż przedstawienie. To taki sam spektakl jak każdy inny.

Nie da się ukryć — znakomita płyta. Najpełniejsza artystyczna wypowiedź artystki od ładnych kilku lat. I drogowskaz dla wszystkich, którzy z nią będą pracować. Potwierdza, że Krystyna Janda to jedna z najbardziej nie wykorzystanych aktorek w polskim teatrze i filmie. ●